

Zbigniew Czubak

Wrocławska próba pomocy społecznej resocjalizacji

Palestra 31/6(354), 67-75

1987

Artykuł został zdigitalizowany i opracowany do udostępnienia w internecie przez Muzeum Historii Polski w ramach prac podejmowanych na rzecz zapewnienia otwartego, powszechnego i trwałego dostępu do polskiego dorobku naukowego i kulturalnego. Artykuł jest umieszczony w kolekcji cyfrowej bazhum.muzhp.pl, gromadzącej zawartość polskich czasopism humanistycznych i społecznych.

Tekst jest udostępniony do wykorzystania w ramach dozwolonego użytku.

przeciwdziałanie ujawnianiu się prawdy itd. — są to zjawiska powszechne, które powtarzają się od czasów, gdy w historii ludzkości pojawił się proces kontraduktoryjny. A zatem jeśli chcemy przeciwdziałać jakiemuś złu w naszym zawodzie, to musimy znać historię, z której można czasem skorzystać.

Adw. D:

— Musimy albo nie musimy. Znam takich, którzy świetnie znają dzieje adwokatury, a nic dla niej nie zrobili, a także takich, którzy tych dziejów nie znają, ale coś niecoś dla adwokatury potrafili zrobić.

Adw. C:

— Na przykład kto?

Adw. A:

— Ja już idę na rozprawę. Przepraszam, ale bardzo się spieszę.

Adw. B, C:

— I my także. No to do widzenia!

ZBIGNIEW CZUBAK

WROCLAWSKA PRÓBA POMOCY SPOŁECZNEJ I RESOCJALIZACJI

I

Problemem ludzi bezdomnych zajęło się ostatnio we Wrocławiu Towarzystwo Pomocy im. Adama Chmielowskiego. Siedziba tego Towarzystwa dla obszaru całej Polski znajduje się we Wrocławiu. Niniejszy numer „Palestry” daje okazję do tego, by nieco spopularyzować w środowisku prawniczym działalność tego Towarzystwa, a zwłaszcza zaznaczyć jego znaczenie penitencjarne i postpenitencjarne. Chodzi też o zasygnalizowanie istnienia pewnej luki w naszych przepisach prawnych, luki związanej m.in. z działalnością tego Towarzystwa.

Ogólnie — jestem za ograniczeniem regulacji prawnej, tzn. przeciwko inflacji norm prawnych. Są jednak zjawiska społeczne, które wymagają tej regulacji lub nowelizacji. Byłoby pewną za-

rozumiałością formułować tu dokładniej zakres potrzebny do tej regulacji. Chodzi bowiem o wypadki, które nazwijmy skrótowo: „ludzie bezdomni”. Wbrew pozorom nie jest to wcale przebrzmiałe zagadnienie, czy też nieaktualny już dzisiaj termin literacki, którym niegdyś posłużył się w swej powieści Żeromski. Ludzie bezdomni — to również współczesna rzeczywistość, wprawdzie marginesowa i dotycząca bardzo drobnej części naszego społeczeństwa, ale — niestety — ciągle istniejąca. Sytuacja taka nie wynika oczywiście z systemowych pryncypiów, lecz stanowi ich patologię. Jej przyczyny są najczęściej skomplikowane i dlatego należy je rozpatrywać indywidualnie. Jednakże nie o to tutaj chodzi. Chodzi natomiast o sam fakt istnienia ludzi bezdomnych. Chodzi także i o to, że fakt bezdomności, czyli brak stałego miejsca zameldowania i zamieszkania przy dzisiejszym stanie prawodawstwa powoduje — w odniesieniu do zainteresowanych — dotkliwe konsekwencje, które w praktyce są często nie do przezwyciężenia. Stąd właśnie wołanie o jaśniejsze przepisy prawne w tym zakresie, a w szczególności o regulację statusu osób, które z powodu braku mieszkania nie mogą się zameldować.

Sam fakt istnienia anonsowanego wyżej problemu nie powinien być wstydliwie ukrywany. Właśnie otwarte przeciwstawienie się temu zjawisku przyczyni się, chociażby częściowo, do jego likwidacji i będzie sprzyjało wiarygodności naszego systemu społeczno-politycznego.

II

Udzielaniem pomocy ludziom bezdomnym zajęło się „Towarzystwo Pomocy im. Adama Chmielowskiego”. Celem ogólnym i nadrzędnym tego Towarzystwa jest przywrócenie bezdomnym ich godności ludzkiej oraz udzielanie im pomocy w resocjalizacji i powrocie do społeczeństwa (art. 7 statutu). Towarzystwo zostało wpisane do rejestru stowarzyszeń wojewody wrocławskiego pod numerem 82 w listopadzie 1981 r. Terenem działania Towarzystwa jest, jak już wspomniano, obszar całej Polski, a siedzibą władz miasto Wrocław. Towarzystwo posiada osobowość prawną i „jest organizacją dobroczynną”, której działalność opiera się na społeczno-humanitarnym zaangażowaniu jego członków.

Według § 8 statutu Towarzystwo realizuje swoje cele przez udzielanie tymczasowo noclegów bezpłatnych lub za niską opłatą w tworzonych w tym celu domach noclegowych, zwanych „schroniskami Brata Alberta”, a także przez udzielanie pomocy prawnej w uzyskaniu przez bezdomnych dowodu osobistego, renty, emerytury, zasiłków pieniężnych, odzieży, zatrudnienia, miejsca w szpitalu, w domu dla przewlekle chorych, w domu starców, w ośrodku leczenia odwykowego itp. Towarzystwo może także two-

rzyć tzw. kuchnie ludowe dla osób pozbawionych całkowicie środków do życia, a nawet organizować spółdzielnie pracy szczególnie chronionej Towarzystwo współdziała z terenowymi organami władzy i administracji państwowej, instytucjami i organizacjami społecznymi, młodzieżowymi, związkami zawodowymi, Milicją Obywatelską, sądami powszechnymi oraz instytucjami i organizacjami religijnymi. Środki pieniężne pochodzą ze składek i ofiar pieniężnych członków Towarzystwa, ofiar pieniężnych innych osób fizycznych i prawnych oraz dotacji państwowych i społecznych. Środki te mogą też pochodzić z pracy społecznej członków Towarzystwa i akcji informacyjno-propagandowych.

Wszystko to brzmi bardzo pięknie, ale na terenie miasta Wrocławia gros statutowych sposobów realizacji celów Towarzystwa dokonuje się ... w drewnianych barakach przy ul. Lotniczej pod szyldem „Schroniska dla Bezdomych im. Brata Alberta”. Tutaj świadczone są wszelkie „usługi” dla tych, którzy sami nie umieli bądź we właściwym czasie nie chcieli poddać się kanonom życia społecznego, a dla których promyk nadziei na bardziej ludzkie życie zapłonął dosłownie w oknach baraków.

Idea schroniska dla bezdomych jest przyjmowana w społeczeństwie wrocławskim przychylnie i ze zrozumieniem. Padają wprawdzie pytania, czy tego rodzaju instytucja nie sprzyja ugruntowaniu postaw pasożytniczych u niektórych jednostek korzystających ze schroniska. Jednakże kwestia ta stanowi odrębny temat i dotyczy nikłego procentu pensjonariuszy schroniska, który nie jest reprezentatywny, a schronisku urabia tylko złą opinię. Mimo przychylności władz lokalnych i centralnych, raz po raz podnoszą się głosy polemizujące z celowością otwierania tego typu placówek. Są to na szczęście głosy odosobnione i pochodzą od osób nie znających realiów życia. Niezależnie od tego, personelowi w codziennej jego pracy schroniska nie szczeni się utrudnień i kłopotów. Należy przy tej okazji jasno stwierdzić, że żadne względy materialne nie decydują o wyborze pracy w tym środowisku. W grę wchodzi wyłącznie pobudki moralno-ideowe.

Problemów jest wiele! Oto kilka przykładów. Tzw. ustawa przeciwalkoholowa stanowi, że należy tworzyć domy dla chronicznych alkoholików. Gdyby przyjrzeć się rozmieszczeniu takich ośrodków choćby tylko na terenie Dolnego Śląska, to wydaje się, że sprawy nie jest w stanie załatwić np. przyszpitalny Oddział dla Uzależnionych Alkoholowo w Ostrowinie koło Oleśnicy, dysponuje on bowiem zaledwie 10 łózkami. Funkcje te spełnia więc częściowo Schronisko.

Podobnie ustawodawstwo postpenitencjarne zobowiązuje do zapewnienia pracy i kwater osobom opuszczającym zakłady karne a z różnych przyczyn pozbawionym rodziny, mieszkania itp.

Podobno znalazł się jakiś obiekt w Świdnicy na blisko 100 łózek, mający spełniać to zadanie. Stał i czekał. Nie znalazł się jednak nikt, kto podjąłby się jego prowadzenia; w rezultacie budynek został oddany na inny cel. I znowu w tym wypadku „deską ratunku” jest Albertowe Schronisko. Ostatnio remontuje się odpowiedni ośrodek Towarzystwa w podwrocławskim Szczodrem. Sprawę pilotuje b. poseł na Sejm, sędzia Władysław Kupiec. Na ten cel Ministerstwo Sprawiedliwości wyasygnowało już kilkanaście milionów złotych. Na dłuższą metę mariaż Schroniska dla Bezdomych ze „schroniskiem dla zwolnionych z areztu” jest trudny do realizacji.

Schronisko pomaga znaleźć bezdomnym zatrudnienie. Powstają tu kłopoty, bo zakłady pracy nie chcą przyjmować osób bez stałego miejsca zamieszkania. Schronisko melduje więc na stałe, bo ludziom trzeba pomóc, co nie jest w zgodzie z pierwotną ideą schroniska jako placówki rotacyjnej.

W codziennej pracy pojawiają się też trudności w kontaktach z niektórymi ZOZ-ami, z kołami różnych Związków: Emerytów, Rencistów, Inwalidów itp. W niektórych urzędach zapomina się, że bezdomni są równoprawnymi obywatelami. Obserwuje się niekiedy tendencje do traktowania tych osób jakby wyjętych spod prawa. Dzięki uprzejmej i cierpliwej postawie gospodarzy Schroniska, udaje się po licznych wyjaśnieniach przełamać często odruchy biurokratyczności i spowodować pomoc ze strony tych, których nie obligują do tego wprawdzie przepisy prawne, ale przy dobrej woli mogą one pomoc taką zrealizować.

Ponieważ u nas problematyka schroniska dla bezdomnych jest stosunkowo nowa, więc może lepiej ją przedstawić w formie małego reportażu, który bardziej bezpośrednio ukaże problemy i atmosferę tego środowiska. Byłem niedawno w schronisku i na podstawie rozmów i własnych obserwacji, a zwłaszcza danych uzyskanych od kierownika schroniska, uzyskałem następujący obraz.

III

Do krajobrazu dzisiejszego Wrocławia należy ciekawa postać Jerzego Adama Marszałkowicza, zwanego przez mieszkańców Schroniska „księdzem Jerzym”, chociaż święceń kapłańskich nie przyjął (ale ukończył teologię). Władze duchowne udzieliły mu zezwolenia na noszenie sutanny. Nosi ją do dziś. Mówi, że sutanna ułatwia mu pracę. Czują przed nią respekt nie zawsze przecież najpokorniejsi „pensjonariusze”. Należy jednak podkreślić, że Jerzy Marszałkowicz nie jest etatowym pracownikiem kościelnym. Oddał się pracy charytatywnej. Bezinteresowna praca Marszałkowicza uzasadnia poświęcenie jego osobie jeszcze kilka słów. Wysoki, lekko pochylony, w kapeluszu lub berecie na głowie,

przemierza długimi krokami miejskie trakty. Odwiedza różne budynki sakralne i świeckie, państwowe i prywatne. Wszędzie przyjmowany jest życzliwie, z szacunkiem, z oczekiwaniem, co też nowego go sprowadza.

Przed ćwierć wiekiem „ksiądz Jerzy” pełnił funkcję portiera w seminarium duchownym: wpuszczał i wypuszczał seminaryjną bramą kleryków, profesorów, gości duchownych i świeckich. A jednocześnie spoglądał na schody okupowane przez ludzi tragicznych i najgorszego autoramentu. Czy rzeczywiście najgorszego? Siedzieli na tych schodach nieszczęśliwcy, z pokrzywioną linią życia, nie będący w stanie snuć refleksji nad godnością ludzką, reprezentanci klinicznych przypadków wszystkich możliwych chorób społecznych. Zwyczajni „denaturaciarze”, pałacy pety wygrzebane z kurzu tramwajowych przystanków, z kieszeniami obładowanymi kradzioną na działkach cebulą, kaszlący i siorbiący nosem z przeziębienia po kolejnej nocy spędzonej w pobliskich krzakach, pod mostami, na ławkach ... „Ksiądz Jerzy” uchylał okna, wysłuchiwał, podawał rękę dosłownie i w przenośni, biegł do seminaryjnego referatarza, przynosił nadwyżki zupy, chleb, potem zmywał blaszane miski i obsługiwał następnych. Bywało, że „zorganizował” jakieś buty, stare ubranie, koc, czapkę. W wolnym czasie wychodził na miasto. W ich sprawach! I byli mu za to wdzięczni. Był dla nich autorytetem i świętością, ostatnią deską ratunku, co wcale nie znaczy, aby go nigdy nie naciągali lub części jego świadczeń nie przeznaczali na niewłaściwe cele.

Jest połowa lat osiemdziesiątych. Telefonuję do Schroniska im. Bł. Brata Alberta.

— Słucham, Marszałkiewicz — zabrzmiało w słuchawce.

Rozmawiamy. Zgłaszam chęć przyjazdu na reportaż. Jest zgoda. Umawiamy się na dzień następny. Nie dochodzi jednak i do tego spotkania, a także dwa następne terminy nie mogły być dotrzymane. Kogoś trzeba było odwiedzić do szpitala, załatwić dokumenty, coś jeszcze ... Prasowa informacja o potrzebujących została zdominowana konkretną pomocą. I chyba tak powinno być.

W końcu jadę do schroniska. Przechodzę przez prawie niewidoczne zebry przejścia dla pieszych, przed którym pod znakiem drogowym widnieje żółta tablica z napisem „Uwaga, starcy!” Było tu już kilka wypadków, nawet śmiertelnych, więc postawiono tablicę. A napis? Niezręcznie przecież byłoby napisać: „Uwaga, pijani!”

Ksiądz Jerzego chwilowo nie ma. Będzie za pół, może za godzinę. Kolejna sprawa do załatwienia w mieście. Przyjmuje mnie „pomocnik”; to półoficjalna nazwa młodych, ofiarnych ludzi pełniących dyżur w schronisku.

Jestem w kancelarii. Pokoik mniej więcej 2m × 3m, wypełniony jest po brzegi: jakieś legowisko-tapczan dla dyżurnych,

szafka, mnóstwo zawiniątek na podłodze stanowiących skromne depozyty mieszkańców. Są i dwa krzesła oraz biurko. Na biurku krzyż i flakony, do których mieszkańcy znoszą kwiaty (naprawdę znoszą!). Telefon i... kilka opakowań „Alka-Prim”. Takie są realia. Mieszkańcy? Część z nich to starzy znajomi księdza Jerzego jeszcze z dawnych seminaryjnych schodów. Reszta to nowi.

Z pomocnikiem rozmawiamy o idei schroniska. Okazuje się, że nawet do precyzyjnych planów wnosi korekturę życie. Pierwotna koncepcja schroniska zakładała rotację mieszkańców. Ich pobyt miał trwać maksimum 2 miesiące. W tym czasie miało się załatwiać: dokumenty osobiste, pracę, ewentualne uzyskanie renty inwalidzkiej, hotel robotniczy, sublokatorkę, dom starców, szpital, zakład odwykowy — w zależności od potrzeb. Obok tego funkcjonować miała kuchnia dla dochodzących. Plany planami, a w rzeczywistości niektórzy są w schronisku już kilka lat. Ich jedynym nieraz źródłem utrzymania są symboliczne zasiłki z opieki społecznej. A przychodzą różni — eks-więźniowie, psychopaci, głównie jednak alkoholicy.

Dzwoni telefon. Przerwywamy rozmowę. Chyba milicja. Pomocnik udziela odpowiedzi na temat byłego mieszkańca schroniska. Dane personalne, daty pobytu itp.

Otwierają się drzwi. Jest wreszcie ksiądz Jerzy. Chwilę rozmawiamy. Wchodzi „interesant” — prosi o „stówkę”. Z początku nie bardzo rozumiem, o co chodzi. Ksiądz Jerzy otwiera zeszyt, wpisuje przy nazwisku petenta kwotę 100 zł, sięga do kieszeni sutanny i wypłaca. Przypomina, że już niewiele zostało. Otóż rachunek jest prosty: z opieki społecznej tenże mieszkaniec otrzymuje kwotę niewiele przekraczającą koszty utrzymania: pozostaje różnica do własnej dyspozycji na przysłowiowe papierosy. Ale ksiądz Jerzy tę kwotę wypłaca w małych ratach. Strzeżonego Pan Bóg strzeże.

Kontynuujemy rozmowę. Różni to są mężczyźni, różnego wieku, wykształcenia, poziomu intelektualnego i moralnego. Większość jednak to alkoholicy. Ale nie wszyscy, bo ludzie przywiodły tu pokrętnie losy. Przychodził stołować się lekarz stomatolog, jest inżynier, były marynarz, cyrkowiec... Przebywa też w schronisku kilku byłych więźniów obozów koncentracyjnych, kombataneci. Co ich tu przywiodło? Różne są powody!

— Od lat przebywam w tym środowisku — mówi Jerzy Marzałkiewicz — i z własnych obserwacji wydaje mi się, że alkohol jest tylko przyczyną wtórną. Często u tych ludzi występują obciążenia dziedziczne, wychodzą po latach podstawowe braki wychowawcze, niedojrzałość intelektualna i uczuciowa spowodowana brakiem własnej rodziny, czasem przerosty ambicji i krach w zetknięciu z twardymi realiami życia. Alkoholicy często nie nadają się do resocjalizacji. Raczej wymagają opieki. W braku

odpowiednich instytucji udziela im tej opieki Schronisko Albertowe. Nie należy jednak zapominać — dodaje — że znajdują się tu ludzie bez problemu alkoholowego i ludzie o dużej wrażliwości moralnej.

Pomocnik opiekuna nawiązuje do tematu rozmowy. Mówi o różnych ludziach. Wygrzebuje z papierów jakiś dokument i podaje mi. Rzucam okiem i szybko robię prowizoryczny odpis:

„Warszawa 20.06.1984 r. Polski Związek Bokserski. Polish Boxing Association znak PZB/1100/84 Polski Związek Bokserski niniejszym zaświadcza, iż zawodnik (N.N.), ur. 3.12.1936 r., był członkiem kadry narodowej Polskiego Związku Bokserskiego w okresie 1956—1962 itd.”

Tenże zawodnik trafił do schroniska w dniu jego powstania, tj. 24 grudnia 1981 r.

Do kancelarii wpada jak burza elegancka dama. Zostają przedstawiony.

— Tak, wiem, już od bramy informowali mnie kolejno o wizycie pana redaktora. Proszę księdza — zwraca się do opiekuna Schroniska — biorę pomocnika i jedziemy do rzeźnika. Co kupić?

— Może trochę mięsa i kiełbasy, jutro sobota, potem niedziela — odpowiada ksiądz Jerzy.

— A gdyby były podroby?

— Też można, choć najlepsza byłaby kaszanka....

Znów ruch ręki do sutannowego „sejfu” i następuje skrupulatne wylizanie kartek. Ksiądz Jerzy otrzymuje od władz 100 kartek miesięcznie *in blanco*, z których musi się dokładnie rozliczyć, a nie wykorzystane oddać.

Pojechali. Pani Lidia dysponuje wolnym czasem, syrenką i szerokim sercem. Często tu wpada, pomaga w dowiezieniu prowiantu, odwiezieniu pościeli i bielizny do pralni miejskiej itp. Doceniając tę ofiarność, władze administracyjne udzielają przydziału dodatkowych talonów na benzynę.

Dopiero teraz jest trochę czasu, bym mógł dokładniej obejrzeć całe schronisko. Sale „ubogie” — to zbyt pozytywne określenie. Po prostu nędzne. W rzędach stoją pryczo-kozetki, które awansowały do miana *tapczanów*. Na ścianach gwoździe, a na nich porozwieszane ubrania. Są i materace, które rozkłada się na noc, zsuwając uprzednio stoły nadające jednej z sali charakter jadalni, jak głosi wywieszka nad drzwiami świetlicy. Tak! W kącie sali, wysoko, jest nawet stary telewizor.

Z nie rozszyfrowanym przeze mnie monologiem wpada do sali jeden z mieszkańców.

— Dzień dobry panu — woła od drzwi do mnie. Podaje rękę.

— Dzień dobry — odpowiadam. On nie puszcza mojej dłoni.

— A pan jest z Warszawy czy z Krakowa? — pyta.

— Z Wrocławia — odpowiadam.

— Aha! — robi minę jakby już wszystko rozumiał.

Jak można się z panem skontaktować? — pyta łapiąc równocześnie małego kota. Tuli go i pieści.

— Jest tu jeszcze piesek — informuje mnie i zwraca się do księdza Jerzego:

— A tego kota idę powiesić na drzewie do parku i tak długo będę walił kubkiem w łeb, aż zdechnie.

Spoglądam na księdza Jerzego z przerażeniem. Śmieje się.

— On tak lubi zwierzęta i zwierzęta lgną do niego — mówi. — Nic im złego nie robi. Coś tak plecie...

Ksiądz Jerzy jest do takich scen przyzwyczajony. Wie, że w tym środowisku słowa nie zawsze oddają to, co ktoś rzeczywiście myśli.

Patrząc na tablicę ogłoszeń. Jest tu wywieszona taryfa opłat w schronisku. To jeszcze jeden pozór normalności tego świata. Są pieczątki, podpis opiekuna — jak w prawdziwym hotelu. A tak naprawdę: ilu z nich płaci? A jeśli nawet, to za co? W taryfikacji na próżno szukałem takich pozycji, jak ubranie od stóp do głów i wymiana garderoby, korzystanie z energii elektrycznej (oświetlenie i ogrzewanie), pranie pościeli, koszty załatwiania dowodów osobistych, koszty utrzymania personelu (zaznaczam, że ksiądz Jerzy z własnej woli nie pobiera żadnych świadczeń). A transport, podróże, lekarstwa, środki czystości i pewnie wiele innych spraw, które przynosi życie, a które trzeba załatwić dla dobra tych ludzi?

W salach, w kuchni, w łazience jest czysto. O tyle, o ile potrafią to zrobić męskie ręce. Kilku mieszkańców zgodnie pichci obiad w dużym, kilkudziesięciolitrowym garnku.

Schronisko boryka się z trudnościami. Podstawową sprawą jest baza lokalowa. Może udałoby się przeprowadzić niezbędne remonty, ale baraki — zgodnie z planem zagospodarowania przestrzennego — przeznaczone są do rozbiórki. Stan aktualny stwarza zagrożenie pożarowe. Były nawet nakazy eksmisji. Przydzielony na cele schroniska pałacyk w podwrocławskim Szczodrem budzi nadzieję na dalszy rozwój pomocy, ale są i minusy: m.in. kapitalny remont obiektu wymaga wielomilionowych nakładów. Poza tym Schronisko w Szczodrem z powodzeniem może pełnić funkcję zakładu opiekuńczego np. dla chronicznych alkoholików czy też tych, którzy absolutnie nie mają się gdzie podziać. Można by im nawet stworzyć tam jakieś warsztaty. Tymczasem lokalizacja tego obiektu wyklucza możliwość realizacji pierwotnej idei schroniska jako lokalu rotacyjnego. Tego rodzaju obiekt musi się znajdować na terenie miasta. Inny problem to analogiczne schronisko dla kobiet. Są chętne temu siostry Albertynki. Gdzie jednak znaleźć odpowiednie pomieszczenia?

Stoimy przy wejściu do schroniska. Próbuje nieporadnie na-

wiązać rozmowę. Trochę trudno. Częstoję papierosami (wtedy jeszcze paliłem), podaję ogień. Po mału mieszkańcy rozkręcają się. Rozmawiamy. Coraz więcej mam okazji do słuchania. Choć jestem tutaj dopiero kilka godzin, zaczynam już rozumieć, że w opowieściach mieszkańców występuje wiele fantazji. Z zapomnienia, z chęci popisania się przed kolegami, zaimponowania czy poprawienia swej nadwreżonej reputacji.

Pora na obiad. Ksiądz Jerzy zaprasza i mnie, co zyskuje aprobata mieszkańców. Czekają na moją reakcję. Przyjmuję zaproszenie.

Dostaję do ręki łyżkę i talerz, długo wybierany ze sterty pobijanych blaszaków i porysowanych fajansów. Ustawiam się w kolejce. Słyszę głośny protest. Swoją porcję otrzymuję bez kolejki: chochlę zupy i dwa jajka na twardo. Na stole leży pokrojony chleb. Smaczno.

Ksiądz Jerzy pilnie obserwuje dystrybucję prowiantu. Po napełnieniu ostatniego talerza pada komenda:

— Zupę proszę wynieść do kuchni, jajka do kancelarii! — woła głośno i ciszej zwraca się do mnie — Zjedliby wszystko, a przecież Bóg jeden wie, ilu jeszcze przyjdzie...

Po obiedzie idziemy z opiekunem schroniska na dalszą rozmowę do kancelarii. Tu jeszcze długo raz po raz będą przychodzili amatorzy dwu gotowanych jajek po swój przydział. Pora jest spokojniejsza, ludzie najedzeni. Niektórzy przychodzą się pożegnać: wyjazd do prac polowych i do nowo załatwionej pracy zawodowej. To właśnie ci, których objęła amnestia. Za oknem widzę mężczyznę czytającego książkę. Jestem pozytywnie zaskoczony. Nawet ksiądz Jerzy, zwykle lakoniczny w swych wypowiedziach, opowiada długo i ciekawie. Mówi o schronisku, o ludziach, którym placówka zawdzięcza swój żywot.

Z kolei i ja informuję o miejskim programie wyborczym aprobującym społeczne życzenie, że należy przyspieszyć przystosowanie obiektu w Szczodrem na potrzeby Schroniska im. Brata Alberta.

Czas kończyć wizytę. Podajemy sobie dłonie. Ksiądz Jerzy przez podwórze odprowadza mnie aż do bramy. Dziękuje za poświęcony mi czas, za serdeczne przyjęcie, za nietypowy dla mnie obiad. Mijamy grupę siedzących przed domem mieszkańców.

— Do widzenia, panowie! — wołam.

— Do widzenia! — odpowiadają. Zapraszamy znowu...

Tak. Zapraszają. O ni zapraszają. Czują się tutaj, u siebie. Dla wielu miejsce to stanowi jedyny przejaw normalnego życia. Chyba właśnie w ten sposób dokonuje się tu ich resocjalizacja.